1. XII.2020

Temat: **Afryka widziana oczami Conrada. Ćwiczenie umiejętności czytania ze zrozumieniem na podst. fragm. „Jądra ciemności”.**

Na podstawie poniższych fragmentów opowiadania zorientujecie się, jak Conrad oceniał zjawisko kolonializmu. Przeczytajcie tekst i odpowiedzcie na pytania.

Polecenia dotyczą rozdziału I.,w którym znajduje się opis stacji spółki handlowej (16 pkt.)

1. Z początkowego fragmentu zacytuj cztery określenia ukazujące zły stan stacji. ( 2 pkt.)
2. Na podstawie opisu tubylców odpowiedz, jak byli oni traktowani przez kolonizatorów. Użyj 3-4. zdań.(3 pkt.)
3. Na podst. akapitu „Umierali powoli…” wymień trzy przewinienia kolonizatorów w stosunku do czarnych pracowników stacji. Użyj równoważników zdań. (3 pkt)
4. Jaką funkcję w analizowanym fragmencie pełni opis głównego księgowego spółki? Jakie wrażenie robi jego postać na tle opisu Murzynów? (3 pkt.)
5. W opisie księgowego Marlow podkreślił ironicznie jedną zasługę Europejczyka w stosunku do mieszkańców Afryki. Co miał na myśli? (2 pkt.)
6. Nazwij uczucia , jakich doświadczał Marlow, zwiedzając stację. Odpowiedz swoimi słowami.(3 pkt.)

— Oto stacja waszej spółki — rzekł Szwed, wskazując trzy drewniane budynki podobne do baraków, stojące na skalistej pochyłości. — Odeślę tam panu rzeczy. Cztery skrzynie, tak? Dobrze. Żegnam pana. Natknąłem się na kocioł poniewierający się w trawie i znalazłem ścieżkę prowaǳącą na wzgórze. Skręciłem w bok z powodu leżących na droǳe głazów i małego wagonika przewróconego do góry kołami. Jednego z nich brakowało. Wagonik wyglądał tak martwo, jakby był trupem jakiegoś zwierzęcia. Natrafiłem znów na rozlatujące się maszyny, na stos zarǳewiałych szyn. Po lewej stronie kępa drzew rzucała nieco cienia, w którym jakieś ciemne kształty zdawały się lekko poruszać. Przymrużyłem oczy; ścieżka była stroma. Na prawo zadźwięczał róg i spostrzegłem, że czarni się rozbiegają. Ciężki i głuchy huk wstrząsnął ziemią, kłąb dymu wydobył się ze skały, i to było wszystko. Żadna zmiana w skale nie zaszła. Budowano tam kolej. Owa skała nie mogła przeszkaǳać w robocie, ale bezcelowe jej wysaǳanie było całą pracą, jaką wykonywano. Usłyszałem za sobą lekki brzęk i odwróciłem głowę. Sześciu czarnych luǳi szło ścieżką gęsiego, dążąc z trudem pod górę. Szli powoli, wyprostowani, niosąc na głowie małe kosze pełne ziemi, a brzęk towarzyszył miarowo ich krokom. Wkoło bioder mieli przepaski z czarnych łachmanów, których krótkie końce chwiały się z tyłu jak ogony. Można było policzyć wszystkie żebra tych luǳi; stawy ich członków³⁴ wyglądały jak węzły na linie. Każdy miał na szyi żelazną obrożę, a wszyscy byli połączeni łańcuchem, którego ogniwa kołysały się mięǳy nimi rytmicznym dźwiękiem. Drugi wybuch rozległ się od strony tej samej skały i przypomniał mi nagle ów statek wojenny, któremu się przypatrywałem, gdy strzelał w głąb kontynentu. Był to ten sam roǳaj złowieszczego huku; ale tych luǳi żadną miarą nie można było nazwać nieprzyjaciółmi — nawet przy największym wysiłku wyobraźni. Nazwano ich zatem zbrodniarzami, a pogwałcone przez nich prawo, tak jak i pękające pociski, przybyły zza morza — niezbadane, tajemnicze. Wychudłe piersi Murzynów dyszały równocześnie, rozdęte gwałtownie nozdrza drgały, oczy patrzyły kamiennym wzrokiem w górę przed siebie. Przeszli o sześć cali ode mnie nie rzuciwszy mi nawet spojrzenia, z zupełną, śmiertelną obojętnością ǳikich, którzy są nieszczęśliwi. W ślad za tym surowym materiałem jeden z nawróconych krajowców — rezultat ǳiałania nowych sił — wlókł się zgnębiony, trzymając strzelbę przez środek. Miał na sobie mundurową kurtkę, u której brakowało guzika, i spostrzegłszy na ścieżce białego, podniósł z pośpiechem broń na ramię. Była to zwykła ostrożność; nie mógł poznać od razu, kim jestem, ponieważ biali są na odległość barǳo do siebie podobni. Uspokoił się szybko i wykrzywił twarz, pokazując białe zęby w szerokim, łotrowskim uśmiechu, przy czym ogarnął spojrzeniem powierzonych mu luǳi. Jakby poczuwał się do koleżeństwa ze mną w pełnieniu wzniosłych obowiązków. Przecież ja byłem również cząstką wielkiej przyczyny, wywołującej to wyższe i sprawiedliwe postępowanie. Zamiast iść w górę, odwróciłem się i zacząłem schoǳić na lewo. Chciałem, aby ci więźniowie skuci łańcuchem zniknęli mi z oczu, zanim znów zacznę się wspinać. Wiecie, że specjalnie czuły nie jestem; wypadało mi nieraz i zadawać ciosy, i odbierać je. Czasem musiałem się bronić, a czasem atakować — co jest tylko pewną formą obrony — nie zastanawiając się wiele, zgodnie z wymaganiami życia, w jakie wdepnąłem. Widywałem szatana przemocy i szatana chciwości, i szatana pożądliwości; ale, na Boga! byli to silni, jurni szatani o ognistych ślepiach, którzy rząǳili i powodowali³⁵ ludźmi — ludźmi, mówię wam. Lecz stojąc tam, na zboczu wzgórza, poczułem, że pod oślepiającym blaskiem słońca w tym kraju zapoznam się z rozlazłym, kłamliwym, bladookim diabłem, opiekunem drapieżnej i bezlitosnej głupoty. Jak chytry umiał być także, przekonałem się dopiero po kilku miesiącach i o tysiąc mil dalej. Zatrzymałem się, przerażony, jak gdyby mnie ktoś ostrzegł. Wreszcie zacząłem schoǳić na ukos ze wzgórza, kierując się ku drzewom, które przedtem wiǳiałem. Obszedłem wielką ǳiurę, wykopaną przez kogoś na zboczu w celu niemożliwym do przeniknięcia. Nie wyglądała w każdym razie ani na kamieniołom, ani na jamę, z której wybrano piasek. Była to po prostu ǳiura. Może miała coś wspólnego z filantropĳnym³⁶ zamiarem dostarczenia zbrodniarzom jakiegoś zajęcia. Nie wiem. Potem znów o mało co nie wpadłem do barǳo wąskiej szczeliny, wyglądającej na zboczu jak nieznaczna blizna. Odkryłem, że wrzucono tam całe mnóstwo rur sprowaǳonych dla³⁷ zdrenowania³⁸ osady. Potłukły się co do jednej. Był to objaw rozpasanego niszczycielstwa. Dotarłem wreszcie do drzew. Zamierzałem powałęsać się trochę w ich cieniu; ale ledwie się tam znalazłem, wydało mi się, że przestąpiłem ponury krąg jakiegoś inferno³⁹.

³⁴członki (daw.) — kończyny

³⁵powodować (daw.) — kierować.

³⁶filantropĳny — miłosierny.

³⁷dla (daw.) — w celu.

³⁸zdrenować — (o glebie) wysuszyć, odprowaǳając nadmiar wody.

39 inferno –piekło

Wartkie prądy pobliskiej rzeki wytwarzały nieustanny, jednostajny, ślepy, gwałtowny hałas, przepełniający tajemniczym rytmem żałobny spokój gaju, jak gdyby gwałtowny rytm rozpęǳonej ziemi stał się nagle słyszalny wśród drzew, gǳie się nie czuło najlżejszego powiewu, gǳie nie drgnął żaden listek. Czarne kształty czołgały się, leżały sieǳiały mięǳy drzewami, opierając się o pnie, tuliły się do ziemi — to wiǳialne, to przesłonięte mętnym półmrokiem — we wszelkich możliwych pozach wyrażających ból, zgnębienie i rozpacz. Rozległ się znowu wybuch miny w skale i ziemia wzdrygnęła się lekko pod mymi nogami. Praca posuwała się naprzód. Praca! A tutaj było miejsce, gǳie niektórzy jej wykonawcy usunęli się, aby umrzeć. Umierali powoli — to nie ulegało wątpliwości. Nie byli nieprzyjaciółmi, nie byli zbrodniarzami, nie zostało w nich już nic ziemskiego — były to tylko czarne cienie choroby i głodu, leżące bezwładnie w zielonawym mroku. Ściągnięci ze wszystkich zakątków wybrzeża na podstawie legalnych kontraktów, rzuceni w nieodpowiednie warunki, żywieni nieodpowiednią strawą, osłabli, stali się niezdolni do pracy; pozwolono im wreszcie odpełznąć i wypoczywać. Te konające postacie były wolne jak powietrze — i prawie równie niematerialne. Zacząłem rozróżniać połysk oczu pod drzewami. Potem, spojrzawszy w dół, zobaczyłem twarz tuż koło mej ręki. Czarny szkielet leżał wyciągnięty na ziemi, opierając się ramieniem o drzewo; powieki jego podniosły się z wolna i zapadłe oczy spojrzały na mnie, olbrzymie i nieprzytomne; w głębi orbit zatliło się jakby ślepe, białe światełko i gasło powoli. Ów człowiek wyglądał na młodego — był to prawie chłopiec — ale wiecie, że trudno się w nich połapać. Nie miałem pojęcia, co bym mógł zrobić dla niego, i tylko podałem mu suchar ofiarowany mi na okręcie przez zacnego Szweda. Palce biedaka zamknęły się powoli wkoło suchara i trzymały go — był to ostatni ruch, jaki dostrzegłem, ostatnie spojrzenie. Naokoło szyi miał zawiązane pasemko białej wełnianej przęǳy. Dlaczego? Skąd je wydostał? Czy to był jakiś znak szczególny — czy ozdoba — czy amulet — czy akt błagalny? Czy była w ogóle jakaś myśl z tym związana? Ta odrobina białej przęǳy zza mórz wyglądała ǳiwnie niepokojąco na czarnej szyi. Niedaleko tego samego drzewa jeszcze dwie wiązki kątów ostrych sieǳiały z podciągniętymi nogami. Jeden z Murzynów oparł brodę o kolana, patrząc w próżnię w przerażający, nieznośny sposób; bratnia jego mara podtrzymywała sobie czoło, jakby owładnięta wielkim znużeniem; inne jeszcze były rozrzucone wokoło, poskręcane we wszelkich możliwych pozach, pełnych wyczerpania, jak na obrazie rzezi lub moru⁴⁰. Gdy stałem, porażony zgrozą, jedna z tych istot zwlokła się na ręce i kolana i popełzła na czworakach w stronę rzeki, aby się napić. Chłeptała wodę z dłoni, potem usiadła na słońcu skrzyżowawszy przed sobą piszczele, a w chwilę później wełnista jej głowa opadła na piersi. Miałem już dosyć tego wałęsania się w cieniu i pośpieszyłem ku stacji. W pobliżu zabudowań spotkałem białego, ubranego z tak nieoczekiwaną elegancją, że w pierwszej chwili wziąłem go za coś w roǳaju wizji. Zobaczyłem wysoki, nakrochmalony kołnierzyk, białe mankiety, lekką alpakową kurtkę, śnieżne spodnie, jasny krawat i lakierki. Kapelusza nie miał. Włosy jego były rozǳielone, wyczesane i wypomadowane, a w dużej białej ręce niósł parasol z zieloną podszewką. Był zdumiewający; za jego uchem tkwiło pióro. Podałem dłoń temu cudu i dowieǳiałem się, że to jest główny buchalter⁴¹ spółki i że całą księgowość prowaǳi się właśnie na tej stacji. Powieǳiał, iż wyszedł tylko na chwilę, aby „odetchnąć świeżym powietrzem”. To wyrażenie brzmiało barǳo ǳiwacznie, buǳąc asocjacje⁴² biurowego, sieǳącego życia. Nie byłbym wam wcale wspominał o tym urzędniku, ale z jego ust usłyszałem po raz pierwszy nazwisko agenta, który tak nierozerwalnie się łączy z mymi wspomnieniami z tego okresu. A przy tym czułem dla tego faceta szacunek. Tak; czułem szacunek dla jego kołnierzyków, szerokich mankietów, wyczesanej czupryny. Wyglądał niewątpliwie jak lalka od fryzjera, ale wśród wielkiego rozprzężenia w całym kraju dbał o swą powierzchowność. To się nazywa trzymać fason. Jego nakrochmalone kołnierzyki i gorsy od koszul były wynikiem siły charakteru. Bawił] nie mogłem się kiedyś powstrzymać od zapytania, skąd wytrzasnął taką bieliznę? Zaczerwienił się leciutko i rzekł skromnie: — Wyuczyłem jedną z tutejszych kobiet, kręcących się przy stacji. To było trudne. Nie smakowała jej ta robota. Takim sposobem człowiek ten rzeczywiście czegoś dokazał. A przy tym był szczerze oddany swoim księgom, które utrzymywał we wzorowym porządku.

⁴⁰mór — zaraza.

⁴¹buchalter (daw.) — księgowy.

⁴²asocjacja — skojarzenie.